

Piotr Zaccone

Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: Marya Segeny.

1

I.

Dwa morderstwa.

Było to na wiosnę 1909 roku. Marcin Courtin, pasterz bydła Piotra Lozain, opuścił właśnie z trzodą swoją zabudowania, gdzie spędził zimę i pędził je z gór ku folwarkowi mieszczącemu się w najwyższej kotlinie lasu. Towarzyły mu dwa duże psy owczarskie.

Folwark ten był własnością Piotra Lozain, który zamieszkiwał go z żoną, córką, parobkiem do posług i służącą.

Marcin Courtin corocznie z wiosną powracał tą samą drogą. Kiedy wchodził z trzodą swoją do ujścia kotliny, psy jego zazwyczaj okazywały wielką radość, biegały wokół niego w szalonych podskokach, zagłuszając donośnym szczeniem ciszę, zalegającą las cały.

Tym razem jednak pasterz zauważył, że zachowywały się w nienaturalny i dziwny sposób. Sły obok trzody powoli, trzymając łby spuszczone ku ziemi, węsząc ziemię, wydając niekiedy krótkie, urywane wycia.

— No, cóż tam Mars? — zawołał Marcin Courtin, patrząc niespokojnie na ulubienca swojego, dużego, silnego psa o świecących, roztropnych oczach. — Cóż się wam dziś stało znowu! Zwawo! Dom niedaleko!

Pies spojrzał smutnym wzrokiem na swojego pana, podniósł łeb do góry i zawył przeciągle.

Lekkie drżenie przebiegło pasterza. Znał dobrze swoich wiernych towarzyszy i przeczuwał, że zachowanie się ich niezwykle musi mieć jakąś przyczynę.

Przystanął na chwilę i zaczął nadłuchiwać w stronę folwarku, myśląc, że dobiegnie go szczenie psa podwórzowego.

Ale las stał cichy, spokojny. Żaden odgłos, żaden hałas nie mącił głębokiej ciszy. Gdzieś niedaleko tylko z lekkim szumem skrzydeł zerwał się ptak spłoszony, lub gałąź zeschnięta z suchym trzaskiem opadła na ziemię.

Lęk nagle ogarnął pasterza.

— Psy wyją na śmierć! — szepnął, żegnając się nabożnie — Cóż się tam stać mogło na folwarku?

Wyjął z za pasa róg i wydobył z niego dwa donośne, przejmujące tony, które rozległy się po lesie, jak rozpaczliwe wołania. Dźwięki te, przebiegając doliny i góry, rozbiegły się w tysiącnych echach, odbijane od skał granitowych, by dalej jeszcze popłynąć, ale, żaden głos podobny nie odpowiedział mu od strony folwarku.

Cisza ta uparta wzmogła jeszcze przestrach pasterza.

Jeżeli z folwarku nikt nie odpowiedział na jego wołanie, to musiało się tam stać coś nie-dobrego, jakieś nieszczęście spotkało zapewne Piotra Lozain i jego rodzinę.

Marcin Courtin odważny był i dzielny. Gwizdnął na psy, zgarnął trzodę swoją i przynaglił do szybszego biegu. Wkrótce opuścił skalisty, wązki wąwóz i doszedł do zabudowań folwarcznych.

Trzoda, poznawszy znajomą zagrodę, rozbiegła się po dziedzińcu, którego wrota były szeroko otwarte. Kilka krów dobiegło do wejścia stajni, której drzwi zdawały się być silnie wypchnięte uderzeniem, pochodzącym z wewnątrz. Ale stanęły nagle wyleknione, wydając żalosne ryki i cofając się oszalałe, zbiły się w gromadę.

Marcin Courtin podbiegł ku nim i spostrzegł z przerażeniem, że na ziemi, na której się rysowały dobrze mu znane ślady, rozciągały się duże kałuże skrzepłej krwi.

— Wilki tu były, — szepnął, dygotając z przestachu.

Wszedł jednym skokiem do stajni i cofnął się zdumiony. Pod nogami jego, na ubitej ziemi, wznosił się stos kości! Z pozostałych dwóch krów i konia, dla użytku rodziny Lozain, widniały tylko szkielety, ogryzione ze skóry i mięsa.

Pasterz zamyślił się głęboko.

Wiedział, że lesista i mało zamieszkała okolica nawiedzana była często, zimową porą, stadami zgłodniałych wilków, wychodzących z ga-

szczy lasów na żer — ale broniono się przed nimi zawzięcie i jeszcze nie zaszedł wypadek, aby się wcisnęły do zagrody. Zuchwałość ich tym razem musiała być oparta na jakiejś przyczynie. Czyżby Piotr Lozain opuścił folwark, zabierając ze sobą psy i służbę? Ale dlaczegoż w takim razie pozostawił w stajni bydło i porzucił na pastwę zgłodniałych wilków? Jakaż przyczyna mogła zmusić gospodarza do opuszczenia folwarku?

— Może nie żyje? — przebiegła mu myśl przez głowę — Ale w takim razie nie żyją wszyscy!

Przypuszczenie to straszne uderzyło go jakby obuchem. Odpędził tę myśl jako niedorzeczną. Lozain był w sile wieku, żona jego była trzydziestoletnią zdrową kobietą. Parobek Ludwik, choć stary, odporny był jeszcze i rzeźki! Cóż się z nimi wszystkimi stać mogło? Epidemie żadne nie nawiedzały tego górzyńskiego zakątka, gdzie powietrze czyste było jak kryształ!

Podejrzanie o zbrodni nie nasunęło się mu nawet. Zbrodnia w tej okolicy, tego nie było jeszcze! Chyba podróż? Tak! Zapewne podróż jakaś nieoczekiwana i nagła! Ludwik zaś może wydalil się, w nieobecności gospodarza, z folwarku i po powrocie ujrzawszy nieszczęście, zląkł się odpowiedzialności i uciekł!

Marcin drżący i niepewny wyszedł ze stajni, stanął na środku dziedzińca i zawołał zmienionym głosem:

— Hej, gospodarzu! Panie Lozain!

Na to wołanie wzmogło się żalosne wycie psów. Stanęły za nim z ogonami spuszczone wpatrzone w domek zamieszkały przez całą rodzinę.

Grube krople potu ukazały się na pobladłym czole pasterza. Zebrał całą odwagę, podszedł do drzwi domu i zapukał silnie. Nie odebrał żadnej odpowiedzi!

Wówczas usiłował drzwi otworzyć, ale prędko spostrzegł, że były od wewnętrznej strony zamknięte.

Zagroda tworzyła półkole, którego druga część zamknięta była wejściem do wozu. Po lewej i prawej stronie wznosiły się zabudowania gospodarskie, stajnie, stodoły i wozownie.

Dom wystawiony z cegieł znajdował się w głębi, strzeżony był wysokim, gęstym żywopłotem o kolczastych ramionach, przez który przecisnąć się nie było można.

Dom nie był duży i składał się tylko z kilku pokoiów parterowych i strychu. Okna wznosiły się na dwa metry od podmurowania. Trzeba było więc posłużyć się drabiną lub wysoką ławką, aby móc zajrzeć przez nie do środka.

Po krótkim namyśle Marcin Courtin przytoczył próżną beczkę, stojącą opodal, pod okno znajdujące się najbliżej drzwi wchodowych i zagłębił odważnie wzrok do pokoju.

Ale widok, który ujrzał był tak straszny i przejmujący, że twarz jego nagle pokryła się śmiertelną bladłością. Zaczął się bezwładnie chwiać na nogach i po chwili bezprzytomny prawie potoczył się wraz z beczką na ziemię. Równocześnie psy śledzące każdy ruch jego rozpoczęły wyć żalosnie, biegając niespokojnie wokół zamkniętego domu.

W kilka godzin później Marcin Courtin znajdował się w miasteczku Vouziers, w gabinecie prokuratora sądu.

Prokurator, pan Dupont, siedział przed biurkiem wpatrzone uważnie w pasterza stojącego przed nim, wspartego na grubej łasce, z którą nie rozłączał się nigdy.

Prokurator miał twarz skupioną i surową. Słuchał opowiadania pasterza, zwracając się niekiedy do pisarza siedzącego przed stolikiem pod oknem i notującego tragiczne zeznanie.

Marcin Courtin był tak wzruszony i przybity, że pan Dupont zmuszony był kilkakrotnie przerwać badanie, aby mu pozwolić odzyskać przytomność umysłu.

Podczas jednej takiej przerwy prokurator napisał parę listów i zadzwonił następnie na woźnego.

— Te listy — rzekł do niego — mają być natychmiast zaniezione według adresów. Ty zaś przejdź do żandarmeryi i powiedz kapitanowi, aby za godzinę najdalej znajdował się po drugiej stronie rzeki, na drodze prowadzącej do Bosaney. Równocześnie pobiegiesz do hotelu „pod Złotym Lwem” i powiesz, że potrzebuję powozu na cztery osoby. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem, panie prokuratorze — odpowiedział woźny i wyszedł spiesźnie z pokoju.

Prokurator zwrócił się teraz do pasterza.

— Czy jesteś w stanie, mój przyjacielu, dokończyć swoje opowiadanie? — zapytał.

— Tak, panie prokuratorze.

— Mów więc dalej. Mówiłeś, że zajrzałeś przez okno uderzony zostałeś tak przykrym widokiem, że upadłeś zemdłony na ziemię?

— Tak jest.

— Cóż było dalej?

Marcin Courtin przesunął ręką po oczach, jakgdyby chciał odpędzić widzenie dręczące go uparcie i wyrzekł:

— Nie wiem jak długo trwać mogło moje omdlenie. Pamiętam tylko, że powróciłem do przytomności pod pieczętami moich psów, które lizaly mi twarz i ręce. Bydło zgromadzone na dziedzińcu charczało ze strachem i biło kopytami o ziemię. Chociaż byłem ciągle jeszcze pod wrażeniem przestachu, graniczącego z obłędem, chciałem raz jeszcze wyjść na beczkę i spojrzeć przez okno, aby się przekonać, czy nie byłem ofiarą jakiejś czarodziejskiej sztuczki, ale kiedy powstałem, reszka odwagi, jaką zachowałem, odbiegła mnie zupełnie. Nie wiedząc prawie co robię, zapędziłem trzodę do innych stajen i zamknąłem wrota. Późem opuściłem folwark założywszy furtkę od ogrodzenia. Psy moje chciały pobiegnać za mną, ale pogroziłem im łaską i poszły położyć się pod stajnię. Wtedy wpadłem w wąwóz i biegłem jak szalony, potykając się o kamienie i drzewa, aż dobiegłem do głównej drogi.

— O której godzinie mniej więcej, zapędziłeś trzodę na folwark?

— Około dziewiątej rano.

— Godzina ta jest bardzo ważna. Czy jesteś pewny, że się nie mylisz?

— Zdaje mi się, że nie, panie prokuratorze. Kieruję się zawsze według słońca.

— Czy nie masz już nic więcej do zeznania?

— Nic więcej.

— Umiesz się podpisać?

— Tak, panie prokuratorze, umiem czytać i pisać.

Pan Dupont zwrócił się wówczas do pisarza:

— Proszę przeczytać głośno to zeznanie.

Pisarz wykonał rozkaz i Marcin Courtin podpisał się na końcu aktu.

— A teraz — wyrzekł prokurator — udamy się na folwark i ty nam towarzyszyć będziesz.

— Jestem gotów. — odpowiedział spiesźnie pasterz.

Pan Dupont opuścił więc swój gabinet wraz z pisarzem i Marcinem Courtin i wkrótce potem przybyli do drogi prowadzącej do Bosaney, gdzie już czekał na nich zamówiony powóz. O kilka kroków od powozu lekarz miejscowy zawezwany przez prokuratora, rozmawiał z kapitanem od żandarmeryi, który przybył w asyście pomocnika i policjanta.

— W którą stronę udajemy się, panie prokuratorze? — zapytał kapitan, witając się z panem Dupontem.

— Niech pan podąży na koniu za nami — odparł zapytany — a my panowie wsiadajmy. Ty Courtin, na kozioł obok stangreta. Wskażesz mu drogę.

Była godzina druga popołudniu.

Zły stan dróg i bystrość wzgórz, jakie przebywali, nie pozwalały na bieg przyspieszony.

Kiedy dojechano do wozu prowadzącego na folwark Piotra Lozain, musiano zatrzymać konie. Wąska, kamienista droga, była tak utrudniona, że powóz tedy przejść nie mógł.

— Dojdziemy dalej pieszo — zawyrokował prokurator wysiadając — Powóz zaczeka na nas.

Wszyscy wysiedli i poprzedzeni przez Marcina Courtin przedostali się przez wąwóz, aż do zagrody.

Cisza panowała tu zupełna, tylko psy, poczuwszy zbliżenie się obcych, zerwały się szciekając donośnie, biegnąc na spotkanie przybywających.

— Cicho! Mars! — rozkazał pasterz.

Na głos ten psy posłusznie zawróciły pod stajnię.

Prokurator jeszcze przed wejściem do zagrody rozpoczął badanie miejscowości.

— Zanim przejdziemy przez tę furtkę — rzekł do Marcina Courtin — objaśnij nam w jakim stanie zastałeś to ogrodzenie, kiedy przybyłeś tu dzisiaj rano?

— Wrota były zupełnie otwarte, panie prokuratorze. — odpowiedział pasterz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)